
Sny Marii Dąbrowskiej (z dziennika)

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 2 (8), 157-170

1973

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez **Muzeum Historii Polski** w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Świadczenia

Sny Marii Dąbrowskiej (z dziennika)

Sny w dzienniku Marii Dąbrowskiej nie pojawiają się na prawach wyjątku. To wyrazisty i obszerny wątek, ciągnący się prawie od początku dziennika (ściślej — od roku 1915) aż do samego końca (ostatni zapis 8 maja 1965 r. zawiera piękny sen o obfitości i Russowie). Nie potrafię podać ich dokładnej statystyki. W każdym razie w latach 1915—1945 Dąbrowska zanotowała grubo ponad setkę swych snów, przeważnie bardzo szczegółowo; dalszy ciąg dziennika jest pod tym względem mniej bogaty. Pokażny wybór snów ze starego dziennika (do 1939 r.) opublikowała po śmierci pisarki Anna Kowalska („Współczesność” 1966 nr 10) na podstawie wypisów, które sporządziła Dąbrowska jako materiał literacki do *Przypód człowieka myślącego*, wykorzystany tam zresztą w znikomym stopniu. Niniejszy wybór jest więc dopełnieniem tamtej publikacji; sny czasu okupacji nie były drukowane i zaczerpnięte zostały z rękopisów

Impuls dla zainteresowania snami dały Dąbrowskiej najpewniej badania Edwarda Abramowskiego. Pod koniec I wojny światowej Dąbrowska uczęszczała w Warszawie na jego wykłady poświęcone „metafizyce doświadczalnej”. Na fali ówczesnej krytyki czystego i praktycznego rozumu, dążeń do wyjścia poza zjawiska i dociekania „rzeczy w sobie”, Abramowski — wspólnie z Bergsonem — zwrócił się w stronę poznania intuicyjnego, zajął się problemami pamięci, wspomnień, snów, telepatii itp. Przy czym zaczął je badać — podobnie jak to czynili eksperymentatorzy epoki: Freud, Adler, Bergson — w drodze doświadczalnej. Sny jako przejaw stanów poza- czy przedmyślowych, jako „pamięć nastrojowa” w pracach brukselskich i warszawskich Abramowskiego stały się elementem jego koncepcji osobowości i „czuć rodzajowych”, tzn. przynależnych rodzajowi ludzkemu. Cała ta problematyka ściśle wiązała się u Abramowskiego z estetyką (m.in. *Co to jest sztuka? Z powodu rozprawy L. Tołstoja:*

«Czto takoje iskusstwo», 1898; *Czucia rodzajowe jako pierwiastki estetyki i mistycyzmu*, 1911).

Dąbrowska przyjęła tę estetykę za swoją i rozwijała ją zarówno w praktyce twórczej, jak i w rozważaniach o sztuce. Systematyczne zapisywanie w dzienniku snów własnych, a czasem i cudzych, komentarze, jakie niekiedy na ich temat czyni, wskazują, iż sny były przedmiotem świadomej refleksji pisarki.

W porównaniu z przeciętną statystyki kobiecej sny Dąbrowskiej są znacznie mniej domatorskie. Sporo tu snów kosmicznych — i jasnych, słonecznych, i ciemnych, katastroficznych. Wiele snów o dalekich podróżach i o przygodach, w które nie obfitowało życie pisarki. Uderzające jest ciągle obcowanie w snach ze zmarłymi. Russów, kraina dzieciństwa, jest — podobnie jak w twórczości — najczęstszym obiektem snów, pojawiającym się w najdziwniejszych kontekstach. Także ponad przeciętną występują sny w kolorach. Dąbrowska odmawiała swym snom właściwości proroczych (niekiedy zastanawia ich zbieżność z przyszłymi wydarzeniami). Przypisywała sobie natomiast zdolności telepatyczne (choć te trudno oddzielić od uzdolnień pisarskich).

Zapisy te mogą być kapitalnym materiałem dla psychoanalityka. Współczesna psychoanaliza — odszedłszy od naiwnej interpretacji symboliki sennej i przewyciężywszy jednostronności Freuda — skłania się ku wyjaśnianiu snów na tle różnorodnych badań psychiki indywidualnej. „Psychika jest stale aktywna — pisze współczesny badacz angielski. — Na jawie spostrzeżenia wydarzeń świata zewnętrznego dostarczają materiału potrzebnego dla tej aktywności. Tylko czasami, na przykład przy rozwiązywaniu problemów lub w marzeniach na jawie, istnieją długie okresy wewnętrznej aktywności, przebiegającej bez udziału bodźców zewnętrznych. Podczas snu działanie bodźców zewnętrznych zanika w mniejszym lub większym stopniu, na skutek czego aktywność psychiczna, nie kierowana tymi bodźcami, staje się wyłącznie wewnętrzna” (H. J. Eysenck: *Sens i nonsens w psychologii*, Warszawa 1965, s. 197). Sny mogą więc być w jakimś stopniu miernikiem wewnątrzpsychicznej aktywności jednostki.

Spośród licznych sposobów interpretowania snów, w czym nauka wciąż czuje się mało kompetentna, krytycznemu sprawdzeniu oparły się najwyraźniej dwie metody: metoda wolnych skojarzeń, jakie obrazy senne budzą u osoby, która je śniła (Galton, Freud, C. S. Hall), oraz metoda analizy snów w ramach doświadczonego badania kompleksów (Łuria). Dla obydwu tych metod (o ile to możliwe w stosunku do osoby nieżyjącej) dziennik tak długo i szczegółowo prowadzony, i tak skrupulatny w opisach snów, jak dziennik Dąbrowskiej stwarza — jak mi się zdaje — wyjątkowo ponętą szansę. Nie mogłem się oprzeć pokusie, by spróbować — w sposób czysto amatorski i ryzykancki — zgromadzić materiał dla analizy snów jednej nocy, zresztą najbardziej rozbudowanych i udratyzowanych (patrz s. 161).

A z literackiego punktu widzenia? Teksty te przedstawiają wartość nierówną. Niektóre — choć krótkie czy miniaturowe — są utworami skończonymi i oryginalnymi. Poetyka snu odróżnia je zdecydowanie od znanych utworów Dąbrowskiej. Wystarczy porównać np. *Zegar z kukułką* z zegarem ze św. Jerzym (ze snu 20 marca 1943), gdzie ogromna treść skupia się w symbolu maksymalnie skondensowanym, archaicznym, a zarazem przewrotnie zaktualizowanym i zdy-

namizowanym. Sen o morderstwie przy rikszy, jak „z brukowej kryminalnej powieści” (28 XII 1940), byłby podobnym rodzajem groteski jak opowiadanie o okupacji pt. *Skórka od stoniny*, gdyby nie jego niesamowite postacie. Dużo śmielszą groteskę prezentuje sen o fryzjerze odcinającym głowy klientkom dla wysuszenia włosów (31 III 1943), oparty na przeniesieniu obyczaju wojennego na czynność zwykłą. Dużą i zabawną rolę spełnia w tych tekstach czysta gra słów, charakterystyczna dla snów (np. sen o Gople, rzeźbie lasu i przysłówku — 31 VIII 1943).

W swojej prozie Dąbrowska respektowała starą regułę realizmu jako przeżytej w doświadczeniu rzeczywistości, lecz próbowała ją odnawiać i poszerzać. W obliczu dużo radykalniejszych poczynań współczesnej literatury modyfikacje te zwykle przeoczano; pisarce odmawiano fantazji, do czego zresztą sama się przyznawała. Jeśli sny mogą być wymiernym wskaźnikiem zdolności fantazjotwórczych, to opinię tę należałoby podważyć. Pisarstwo, poszukujące surowego ładu, tkwiące w określonych konwencjach, nie mogło — wbrew pokusom — wchłonąć doświadczeń z innej sfery. W „kompozycji istnienia”, jaką stworzyła Dąbrowska w swych dziełach, nie mogły one znaleźć ani miejsca, ani wyrazu takiego jak na prywatny użytek. Dlatego zaglądamy do prywatnego sennika.

Warszawa. 13 III 1918. Środa.

Śliczny sen Mirka. Śniło mu się, że ktoś grając na skrzypcach deklamował wiersz, w którym były takie słowa: — „Jestem szczęśliwy tak, że mógłbym swoim szczęściem obdzielić jasny dzień słoneczny”. Przeczytałam pogodną książkę Ernsta *Historia młodego życia*. Przeważnie leżę. Śnił mi się po południu wiersz:

Młodość i wolność
tkwały sobie skrzydła,
błękitne skrzydła
na złotym przezroczu...

Sabinów. 23 V 1918. Czwartek.

Śniło mi się dzisiaj, że mnie „Hawelica”, moja dawna przełożona, o kradzież kilkuset marek obwiniła. Sen pełen męczarni, obudziłam się, płacząc gorzko. Potem śniło mi się, że diabeł był moim kochankiem. Do nikogo żywego nie podobny, raz jasełkowy, czarny z rogami, to znów przedzierżgnięty w jakąś czarowną księżęcą postać. Przy czym uczuciowo sen obojętny.

Warszawa. 24 VIII 1918. Sobota.

Była dziś bardzo zła noc. Ciągłe grzmiało, było duszno. Czułam się chora i miałam sen okropny, że był koniec słońca. Byliśmy wszyscy w Sabinowie. Był biały dzień. Nagle zaczął się ukazywać księżyc

rubinowy, księżyc o twarzy z *Konstelacyj* Witkiewicza. Księżyc ten stał obok słońca. Przechodziła przez niego wielka tęczowo-mgławicowa obęcz. Nagle niebo zaczęło ciemnieć i ciemnieć, a słońce uciekać w głąb nieba. Tak jest. Wyciągaliśmy do niego ręce, a ono było coraz mniejsze, coraz mniejsze, aż wreszcie w niedoścignionej dali świeciło jak mała brylantowa gwiazda. A ziemia — i my z nią — leciała, waliła się gdzieś w przestrzeń, wytracona z orbity, w ciemności. — „To koniec słońca, to koniec świata” — wołałam i rękoma szukałam w ciemności Mirka. Zbudziłam się spocona.

4 X 1918. Piątek.

Jaki ja miałam dziś przecudny sen. Tańczyłam całą noc na jakiejś wielkiej polance przed olbrzymim zgromadzonym tłumem na chwałę Boga. Ale jak tańczyłam. Gdybym to mogła na jawie przetańczyć, byłaby to sztuka sławna w świecie. Ogarniało mnie w tym tańcu uniesienie prawie równe ekstazie, a jednocześnie tańcząc czułam szalony wysilek, znane tylko artystom twórcze natężenie wszystkich władz ku wykonaniu tego, co serce każe. A był to zimny listopadowy poranek i zmarznięta wracałam z tańca do domu. Na lekką tylko zasłonę zarzuciłam jakieś futro i biegłam tak boso po szronie, a był już zmierzch i paliły się latarnie, bo tańczyłam cały dzień.

Płonne. 17 VIII 1926.

Sny dzisiejszej nocy. Śniło mi się, że były wielkie rozruchy w Warszawie. Tłumy kołysały się na ulicach hieratycznymi ruchami, jak na obrazach Laermansa albo w Teatrze Bogusławskiego na *Kniazii Patiomkinie*. Szłam niby to do pani Sobańskiej. Przez okno zobaczyłam ją, że siedzi przy swoim biurku i czyta w wielkich okularach. Weszłam do hallu. Stara zasuszona babinka w rodzaju panny Wiktorii, szwaczki z Lublina, powiedziała mi niechętnie, że nie wie, czy pani hrabina jest i podała mi „wewnętrzny telefon” (tak to nazwała). Nagle wtargnęło do hallu mnóstwo szalenie strojnych osób, panów i pań. Ja przez ten czas krzyczę w telefon, coraz głośniejsze i czuję, jak ze słuchawki płynie coś niewymownie ciepłego i słodkiego, szept, czy pieszczota, lecz słów nie mogę usłyszeć. Wołam ciągle: — „Tu mówi Maria Dąbrowska”. Nagle telefon znika, a jedna ze ślicznych pań bierze mnie za rękę. — „Maria Dąbrowska autorka?” — „Tak”, mówię, i ogarnia mnie dziecinne chępliwe zawstydzenie. Nagle podnoszą się panowie i mówią coś w rodzaju: — „to znakomita pisarka” i coś o moich książkach. Pani, która trzymała mnie za rękę, pocałowała mnie w końce palców. Zaczęłam się pogrążyć w jakąś niesamowitą radość i zupełnie zapomniałam o pani Sobańskiej. Wtem w koło zaległa pustka, znalazłam się na ulicy i z przerażeniem zobaczyłam, że moja ręka jest czerwona, chropowata i popękana i że jestem do pasa goła. Zaczęłam płakać i biec w zrozpaczonej rozterce,

czy to od pocałowania tej pani tak się zrobiło, czy też ona mnie pocałowała w taką straszną chorą rękę.

Drugi sen. Dowiedziałam się, że generał Haller urządza wyprawę do bieguna północnego i postanowiłam wziąć udział w tej wyprawie. Wanda przygotowała mi narty, pantofle z wielbłądziej wełny, sweter, czapkę szoferską, piłkę footballową i buty. W ostatniej chwili pakowałam się wśród już mnie otaczających obrazów podbiegunowego śniegu i lodu. Wtem okazało się, że w walizce nie ma żadnej z tych rzeczy, które Wanda przygotowała. — „Jak to, mówię, przecież były narty na mój wzrost” — i męcę się. Raptem znajduję wszystko za piecem. Ktoś mnie zapytał, czy porozumiałam się z Hallerem. — „Nie” — mówię. I przyczaiwszy się, skaczę prosto do auta, którym właśnie Haller przejeżdżał Marszałkowską ulicą ze swoją wstrętną gębą. — „Czy pan jedzie do bieguna północnego?” — pytam. — „Tak” — „Czy pan zabiera kobiety?” — „Nie” — mówi i śmieje się tak paskudnie. — „A ja — mówię — chcę jechać i już jestem zapakowana”.

W tejsze chwili okazuje się, że nie siedzimy, tylko leżymy na tym pędzącym aucie, jakoś tak na wierzchu i wstrętna łapa zaczyna mnie dotykać po twarzy. Odpycham ją i mówię: — „Dawniej, kiedyś, byłam majorową, wiedziałam doskonale jak salutować żołnierzom i wszystkie zwyczaje wojskowe, ale teraz odkleiłam się zupełnie od wojska”. — „Pani była majorową? — „Tak, żoną majora Mariana Dąbrowskiego, piłsudczyka z pierwszej brygady”. Na to Haller: — „No to chodźmy do mnie”. Znaleźliśmy się natychmiast w dużym stołowym pokoju, po którym chodził mały bładz chłopiec. — „Ale to nie jest pana syn, Eryk?” — „Nie, mój syn, już dorosły, w wojsku”. Siedzimy na wielkiej otomanie. Wzięłam dłoń chłopca i przyłożyłam sobie do policzka: — „Czy pan pamięta, jak pan wypadł z samochodu i leżał pan w Częstochowie u pp. Chrzanowskich?” — pytam niby Hallera, ale zwracając się do chłopca. A chłopiec, czy Haller mówi: — „Tak? Nie bardzo pamiętam”. — „Boże, myślę, jaki pyszny, jaki wielki. Nie pamięta”. A Haller mówi: — „Pójdę, żeby nam przynieśli supę”. Poszedł. Zza kotary wyszła jego żona i usiadła przy mnie. Chłopiec znikł. (Trzeba dodać, że Hallera znam tylko z fotografii i samochodu na ulicy, a jego żony nigdy nie widziałam). — „Boże, myślę, co tu zrobić, żeby mnie zabrali do bieguna północnego bez tych wstrętnych warunków”. Ale jakie to miały być warunki nie wiem, czuję tylko ich obrzydliwość. Wtem, o szczęście, wszystko znikło, jadę tramwajem przez jakieś ciemne ulice z Mirczkiem. — „Mirusiu — mówię — dlaczego tu nie ma kierowniczego? (tak powiedziałam). Odsuń bezpiecznik — dodaję — odsuń bezpiecznik”. A on śmieje się takim strasznie kochanym śmiechem i mówi: — „Ach, ty ciapo mała. Przecież kierowniczy jest w pierw-

szym wagonie, a tu tylko my, pasażyrzy”. Oglądam się, rzeczywiście, jedziemy w drugim wozie. Zaczynamy się strasznie śmiać z tego „pasażyrzy”. Drugi wóz, wszystko dobrze, nikogo tu nie ma, tylko my sami we dwoje jedziemy sobie do lasu do Tervaeren. Co za ulga, co za radość, co za wytchnienie rajskie. Budzę się głośno roześmiana z tym słowem „pasażyrzy, pasażyrzy”, jakby jakimś zaklęciem szczęśliwości na ustach.

Próba interpretacji. Przed trzema miesiącami Dąbrowska oglądała majowe zajęcia w Warszawie. We śnie widzi je w stylu patetycznych dzieł (Laermans, T. Miciński) i kojarzy z osobistą sytuacją pisarską. Sława pisarska (wówczas nie ugruntowana) otwiera jej drzwi salonu, lecz okazuje się żenująco bezradna na ulicy („do pasa goła”, „strasznie chora ręka”). Drugi sen ten samej nocy nie ma pozornie związku z pierwszym. Śniąca szykuje się do wyprawy na biegun, organizowanej przez gen. Hallera, w której chce wziąć udział. Wyprawa we śnie na biegun przywołuje na myśl inną imprezę tego rodzaju — wyprawę Alaina Gerbaulta przez ocean, której Dąbrowska poświęciła osobny artykuł („Tygodnik Wileński” 1925 nr 15). W związku z tym notowała w dzienniku 14 IV 1926: „Pan Stempowski dezawuował mój entuzjastyczny artykuł o Alain Gerbault i cały mój stosunek do wyprawy. Po namyśle przyznałam mu słuszność, ale odczułam to jako swoją kapitulację”. Spór ze S. Stempowskim, który po utracie przez pisarkę męża stawał się coraz bardziej jej oparciem („Dobrodziejstwem mojego życia teraz jest p. Stempowski. Cóż to za człowiek” — pisze podczas wydarzeń majowych, 17 V 1926), dotyczył różnych koncepcji bohaterstwa, męstwa (jak się można domyślać — wyczynowego, żołnierskiego z jednej strony, a zwykłego, moralnego — z drugiej). Skąd jednak na czele wyprawy pojawił się Haller? Dlaczego przedstawia się tak oblesnie? Dąbrowska знаła go jedynie z widzenia w Piotrkowie, a jego powrót z Francji wiłała z uznaniem. Otóż podczas wypadków majowych gen. Haller został na powrót szefem Sztabu Generalnego, stał się ideologiem strony przeciwnej Piłsudskiemu, obalonym po udanym przewrocie. Być może stąd pochodzi niechęć do niego we śnie u osoby, która (podobnie jak Stempowski) była entuzjastką — jak to określiła — „rewolucji wojskowej o ideał moralny”. Na koniec snu zjawia się obok pisarki zmarły mąż, który uspokaja ją, że tramwaj, którym jadą, ma swego kierowniczego i przykry sen rozładowuje żartem. Obydwa sny krążą więc wokół tych samych spraw ówczesnej sytuacji kraju i sytuacji osobistej pisarki, która stanęła właśnie na progu swego wielkiego przedsięwzięcia literackiego. Przy tym istotne w tym podwójnym śnie są nie tyle reminiscencje niedawnych wydarzeń publicznych, początków znajomości ze S. Stempowskim (o tym wiemy skądinąd), lecz ich dramatyzacja

i związku, to, z czym się one i w jakiej temperaturze emocjonalnej kojarzą, a więc rewizja pojęcia bohaterstwa, ambicja wielkiego pisarstwa działającego również na ulicę oraz doskwierająca potrzeba „kierowniczego”.

(T. D.)

Warszawa. 5 I 1928. Czwartek.

Dziś w nocy śniło mi się, że byłam ciężko chora, leżałam w szpitalu, było mi duszno i źle. Słyszałam jak siostra mówiła: — „To będzie rodzaj śpiączki. Potrwa ze sześć tygodni. Serca nie będzie się wcale czuło, głowy też nie. Wszystko zamrze. A może to będzie *meningitis*?” (Nie wiem skąd mi się przysniło to słowo, nie wymawiane chyba od paru lat.) Potem nagle ujrzałam Lechonia, siedzącego na słupie od kwiatów. — „Ja — powiedział — strzeliłbym sobie dawno w łeb, żeby nie to, że ludzie mnie rozrywają”. — „Czy pan myśli — zapytałam — że jeśli ludzie pana rozrywają, że to znaczy, że pana naprawdę potrzebują i kochają?” Lechoń na to: — „Pani myśli, że boją się tylko samotności?” — „Tak, naturalnie” — powiedziałam. Lechoń znikł. Potem śniła mi się jakaś męcząca abrakadabra, której nie mogę sobie przypomnieć.

6 I 1928. Piątek.

Śniło mi się, że Mamusia przysłała i powiedziała, że w kuchni są karaluchy. Pobiegłam tam i zobaczyłam olbrzymiego karalucha, niby kota i dużo małych. Zaczęłam zasklepiać szpary między ścianą i podłogą, ale szpary się ciągle mnożyły. Obudziłam się ze strachem i obrzydzeniem. Po zaśnięciu śniło mi się, że jestem niby we Francji w jakimś miasteczku. Naokoło były spelunki, domy publiczne, jazz-bandy i po ulicach włóczyła się niby Maskarada, same ludzkie poczwary, głowy na cienkich nóżkach, kikimory, kultiabki; przedmiotoludzie. Jacyś Żydzi kudłaci namawiali mnie, żebym z nimi szła; wykonywali sprośne gesty, mówili świństwa jakiegoś, łechtali mnie. Po nocy zaczęłam z tego wszystkiego uciekać, jakiś pies biegał, przyczepiony do drutu, w tę i w tę stronę. Bałam się. Natknęłam się na małego Kadeniaka, który się też wykrzywił lubieżnie, podobny bardzo do Żydziaka i też czepiał się mnie wśród sprośnych niedwuznacznych gestów. Obudziłam się. Bardzo rzadko śnią mi się takie rzeczy.

16 I 1928. Poniedziałek.

W nocy mnóstwo snów, które zaraz zapominam z rozpaczliwym poczuciem, że gubię coś bardzo cennego. Śnią mi się oboje Rodzice, omawiający jakoby moją ślubną wyprawę. Potem, że przysłała wiadomość, że Marian żyje w Rosji, że za kilka miesięcy wróci. Przy-

niosła mi tę wiadomość nie wiem skąd Lusja Gałczyńska (bardzo mało mi znajoma córka Ryszarda). Szalone wrażenie moje. Szczęście i straszne współczucie dla rzeczy, które Marian wycierpiał. Lęk, jak Panko to przyjmie, jak się obaj wzajemnie zrozumieją. Lęk tym bardziej, że jestem w tym śnie w ciąży od Panka. Chcę ukryć wiadomość przed Pankiem. Modłę się, aby obaj padli sobie w ramiona. Ściskam i całuję Wacka i powtarzam do niego, jak do dziecka: — „Widzisz, Wacusi, widzisz, będziemy znowu mieli Mirusia. Ty będziesz znów miał braciszka”. Zupełnie przejmujące uczucie, jakby niedziele i święta na powrót wróciły do kalendarza, w którym były tylko bure powszednie dni.

9 I 1933. Poniedziałek.

Idę spać w cierpkim usposobieniu — nic nie szło. Na dworze dwa stopnie mrozu, ale wciąż szaro. Rano, zasnawszy, miałam pod wpływem czytanego w nocy Jeansa sen, że jestem planetą, powstała z protuberancji gazów, wyrwanych ze słońca na skutek zbliżenia się innej, większej gwiazdy. Że wiruję i za chwilę wyrzucę z siebie księżyc. Czułam, jak odrywa się ze mnie część wracającej masy, ale odrywały się wciąż za małe kęsy. Obudziłam się i zobaczyłam, że kaszlę i „odrywa mi się flegma”, jak to się mówi. Jeszcze chwilę po obudzeniu zdawało mi się, że to jest proces powstawania księżyca. Tego rodzaju sny świadczą o wielkim zatruciu i zmęczeniu umysłu. I czy to potrzebne?

21 VI 1933.

Śniło mi się, że Marian nie umarł. Że pracował w Sosnowcu w kopalni „Mortimer” i miał jakoby żonę i dzieci. Wiadomość tę powzięłam na skutek wypadku, a mianowicie, że w domu, gdzie mieszkali, zawaliła się ściana i ja nagle całą tę rodzinę zobaczyłam. Długo błąkałam się po tej kopalni, szukając Mariana. Sztolnie, windy, schody, podziemne korytarze. Kiedy w końcu wyszłam, zobaczyłam Mariana, stojącego między innymi panami w biurze kopalni. Jednocześnie w świadomości miałam jakby myśl, że on mnie opuścił, dowiedziawszy się, że go zdradziłam i miałam — niezgodne z prawdą — a przecież szczere uczucie, że tak nie było i że mnie fałszywie oskarżono. Śmiałam tylko dotknąć jego ręki miękkiej, silnej, pięknej, a kiedy dotknęłam tej ręki w przechodzie, powiedziałam coś w rodzaju: — e, tak — czy coś takiego. I wyszłam z tego biura, i już nie widziałam Mariana, i wszystko znikło, tylko tak straszliwie, żałośnie chciałam go znów choć na mgnienie zobaczyć. Pierwszy raz w życiu w tym śnie doznałam bez żadnej przerośni wiedzy o tym, że spojrzenie na człowieka może być największym szczęściem na ziemi. Pobiełam do domu i zaczęłam do Mariana pisać list w te słowa: — „Teraz kiedy nie może istnieć na to żadna nadzieja, abyśmy mogli zejść się na powrót, może uwierzysz, że to była plotka i że ja ciebie nie zdradziłam”. — Nagle uprzytomniłam sobie, że przecież to nie była plotka, tylko prawda i że nie mam prawa do tego ratunku, którego szukam.

I wtedy czepiłam się jedynej możliwej do zniesienia myśli, że Marian musi istnieć, skoro tak może się śnić. A więc w końcu połączymy się ze sobą na pewno tam, gdzie kwestia zdrady miłosnej na pewno nie istnieje, gdzie możliwe jest pogodzenie wszystkich sprzeczności, wyrównanie wszelkich nieporozumień. I że będziemy wiedzieć, że to my się znów na wieki spotykamy. I to była moja godzina wiary w życie przyszłe, błoga i bezwarunkowa — jedyna w życiu — we śnie.

19 III 1935.

Śniło mi się, że byłam skazana na ścięcie. Stałam przed pieńkiem. Kat czekał. Strasznie się bałam czy on potrafi mnie zabić momentalnie. Chciałam go zapytać, czy jest dość zręczny, ale bałam się, że jak zacznie o tym myśleć, to na pewno chybi. A potem straszne poczucie nieodwołalności śmierci i straszliwy żal życia. I znów myśl, że moja głowa może będzie jeszcze odcięta myślała, że ma dalej korpus, ręce i nogi, i czuła je, jak się dalej czuje nogę odciętą. Z tym zbudziłam się. Potem znów sen, że ślicznie ćwierkający ptaszek wleciał mi przez okno na łóżko i wkręcił się we włosy. Chwycałam go. Stach go chciał wsadzić w buteleczkę — ja mówię: „Przecież się tam udusi” — i raptem czuję, że trzymam w ręku skaczącą muchę o dziwnie kłujących nóżkach. „To giez koński” — mówię. A ten giez dalej ćwierka jak ptaszek. Budzę się z okropnym jękiem.

4 I 1936. Sobota.

Miałam dziś w nocy sen. Zaczęło się od tego, że wstępując na niebotyczne schody, spotkałam listonosza, odebrałam od niego pocztę. Jeden list wstrząsnął mną. Koperta była adresowana na maszynie, jej brzeg był rozcięty, a list wyjęty, trzymał się jakoś przy kopercie. List był od Mariana, poznałam od razu jego niezapomniane pismo. List był z Ameryki, gdzie on zawsze we wszystkich moich o nim snach, żyjący, nie umarły i na mnie rozgniewany przebywa. Serce mi strasznie biło. Wbiegłam na górę, a tam tłum ludzi zaczął rozbiierać ową pocztę i patrzeć, a mojego listu od Mariana już nie ma. Ktoś mi go zabrał. Wszyscy się ze mnie śmieją. Nie mogło — niby mówią — być żadnego listu, przecież Marian dawno nie żyje. Płaczę, szukam, rozpaczam — przecież wiem, że żyje i po tylu latach wreszcie do mnie napisał, i mnie list zabrali, i ja go już nigdy nie przeczytałam. I tam był adres, i ja nie wiem dokąd napisać. Śmiertelna rozpacz. Potem nagle jakbym ciężko zachorowała. Siedzę w poczekalni doktora, wreszcie moja kolej, wchodzę do gabinetu, a tu Boy-Zeleński jako lekarz ma mnie obsłuchiwać. Ogarnia mnie wstręt i strach. On mnie jednak osłuchuje i mówi ze wstrętnym grymasem: — „Nie mogę przy tym nie doznawać sensacyj seksualnych”. Raptem znika i do gabinetu wchodzi Niemka, niby Elga Kern (moja niedoszła tłumaczka). Krzycząc na nią: — „Dlaczego pani nie czeka w poczekalni, przecież tu jest konsultacja”. (Reminiscencja z pierwszego rozdziału *Idioty*. Inwersja przyjscia Myszkina do Epanczynych.) Ona też krzyczy, że ma prawo czekać w gabinecie. W rezultacie okazuje

się, że mam gruźlicę — leżę w malutkim pokoiku, córki Józkowej, Krysia (niby zupełnie jeszcze mała) i Olena przychodzą do mnie z kwiatami. Całuję je i raptem wpadam w rozpacz. Boże, ja mam gruźlicę i zarazę jeszcze te jej ostatnie córki, które od gruźlicy ocalały. Wtem zjawiają się Rykuńciowe, biorą mnie ze sobą na zawody hippiczne. Stoimy przy okienku. Pani Lusią żąda najdroższej łoży. Urzędniczka w okienku mówi: — „Jest jedna za 80 złotych, nazywa się «Traur» (*traur* znaczy po rosyjsku żałoba), ale już kupiona. Wolne są jeszcze tańsze po 10 złotych”. — „W takim razie proszę trzy — mówi pani Lusią — dla każdego z nas jedna”. Dziwię się takiej próżności i rozrzutności. Idziemy, jest ciemno i na jakimś placu odbywa się niby kiermasz. Kupujemy w kramie pieczone kasztany bez łupiny, wielkie jak jabłka. Henryk tłumaczy mi, że te kasztany tak się mają do zwykłych jadalnych, jak jadalne do niejadalnych. Nagle widzę uśmiechniętego posła Günthera i pytam go: — „To pan jeszcze nie pojechał do Meksyku?” (Günthera poznałam przez Rykuńciów i kasztany kupowałam w 1934 r. z panią Lusią w Sorrento, a na zawodach hippicznych byłam z nimi tego lata w Łucku). — „Po co — pytam — kupiliście aż trzy łoża, kiedyśmy ich nawet nie widzieli?” Henryk dziwnie się uśmiecha i mówi, że tak wypada. Potem jadę niby to na kurację z gruźlicy taką bryczuszką bez kozła (widziałam taką na jednej akwaforcie w IPSie). Jadę z Ojcem. Ojciec powozi, ale konia nie widzę. Jedziemy nową nieznaną mi drogą, wiodącą jakby od wiatraka za Starą Wsią ku drodze do Poklękowa. Za nami na lewo jest Russów. — „Żeby się tylko nie obejrzyć na Russów” — mówi Ojciec. Widzę Ojca tak wyraźnie, jak już na jawie nie potrafię go widzieć. Jakoś tak wstrzymujemy się od tego obejrzenia, aleśmy nie wytrzymali i obejrzelismy się. A tam na miejscu, gdzie staw z wyspą, widać niebotyczne białe gmachy. — „Co to jest — dziwi się Ojciec — tego tam nigdy nie było” — „To pewno nowy kościół” — mówię. — „Nie, do czego to podobne, trzeba mieć odwagę, jedźmy przez Russów” — powiada Ojciec. Zawracamy drogą koło łąki, a tu na miejscu łąki stoi wysoka ściana jakby parowej młocarni. Jedziemy, jedziemy, a tu na miejscu, gdzie był dwór, ogród i podwórze, wszędzie pagórki, pookrywane kolorowymi kilimami. A między pagórkami ogromna brama kościelna cała z powyrabianych w kamieniu gotyckich rozet, pobielonych świeżo wapnem. Jedziemy, wciąż bez konia, jakoś wskroś przez tę bramę, bryczka strasznie skacze na kilimowych pagórkach. Ja zaczynam nagle strasznie płakać, Ojciec też płacze, łzy płyną mu po twarzy. I tak płaczymy oboje. — „Tatusiu — mówię — wszystko tu się zmieniło, a ja czuję, że jesteśmy w Russowie. Wszystko się zmieniło, a wszystko jest jak było”. I tak się dziwię. „Co to jest — mówię i świetnie pamiętam tę myśl czy te słowa śniące się — Wszystko zniszczyli a Russów jest, nie mogli zniszczyć Russowa”. — Nagle Stachno skądś się wziął i powiada. — „To jest element śmierci”. Z tym zbudziłam się zalana łzami.

10 I 1936. Piątek.

Po południu śpię. Śni mi się, że jestem bezrobotna i w kozuchu szukam pracy przy regulowaniu rzeczki Jeziorki pod Piasecznem.

Rab. 16 VI 1936.

Po obiedzie spałam i miałam dziwny sen, na wpół smutny, na wpół czarowny, żeśmy z Ojcem jechali do Russowa statkiem po morzu.

Warszawa. 23 XI 1936. Poniedziałek.

Dziwny, żalorny sen tej nocy. Nagle zobaczyłam jakby zobiektyzowaną projekcję strasznego smutku i niedoli mojego wnętrza. Pokazało mi się to niby pole, z którego jednej materii z podłożem rosła taka flora, jak przez mikroskop widzi się pole rosnącej pleśni. To było beznadziejne — łodyżki z zagiętymi łebkami jak nuty — wszystko ziemistego, wszawego, mdlącego koloru, chwiejące się leciutko, mrowiące obrzydliwie. Zaczęłam wołać: — „Oto czym jestem i ja sama, i wy wszyscy!” — Zaczęłam strasznie płakać. Zbudziłam się w boleściach...

11 I 1938. Wtorek.

Dzisiejszej nocy śniło mi się, że staliśmy przy oknie w śliczną styczniową mroźną pogodę i patrzyliśmy na gałęzie jabłoni, której pąki już otwierały się na różowo. Słońce grzało, śnieg iskrzył się, różowe kwiaty jabłoni w oczach się rozwijały, a ja mówiłam: „To teraz już będziemy mieli taki klimat, że cały rok będzie coś kwitło”.

28 XII 1940. Sobota.

Miałam dziś w nocy dziwnie jaskrawy bzdurny sen jak rozdział z brukowej kryminalnej powieści. Ze dwu jegomościów o wyglądzie łądząco przypominającym ś.p. Jodkę — albo kupca rosyjskiego — obaj podobni do siebie jak dwie krople wody i bliźniacy, mieli riksę na rogu Marszałkowskiej i Wilczej. Różnili się od siebie tylko tym, że jeden był inwalidą i nosił drewnianą kulę zamiast nogi. Widzę ich tak wyraźnie, że rozróżniam nawet kolor jasnobrunatnych opończy, w rodzaju habitu, jakie mieli na sobie — i kolor siwiejących blond bród. Podeszłam do rogu chcąc wynająć riksę, a wtem brodacz bez nogi zaczął się z tym swoim bratem bliźniakiem strasznie klócić. W największym ferworze tej zwady beznogi wyciągnął raptem rewolwer i zaczął do tego swojego brata strzelać wiele razy. Tamten już leżał na ziemi, a ten drugi wciąż mu strzelał w brzuch. I w tym wszystkim nie było grozy. Bez żadnego przerażenia zaczęłam odchodzić z tego miejsca i myślałam sobie — że w takim razie można by się starać o koncesję... na sklep tytoniowy po tym zabitym. A potem gromiłam siebie we śnie, że nie, nie można się o to starać, bo nie można korzystać z takiego strasznego nieszczęścia i zbrodni.

20 III 1943. Sobota.

W nocy o 1.20 był drugi alarm. Miałam dziwny sen o zegarze olbrzymim przedstawiającym św. Jerzego, walczącego, ale nie ze smokiem, tylko jakby ze zbrojem o twarzy Kalibana, równoległe z nim ramię w ramię jadącym. Kwadrans i godziny wybijał, zadając mieczem rany temu zbrojowi. Widziałam jak o godzinie wpół do piątej zadawał mu cios w twarz, a potem o piątej pięć ciosów w twarz. Nagle ów zbroj wypuścił maczugę, która padła między nas zgromadzonych, żyjących ludzi. Coś strasznego zaczęło się dziać między nami ludźmi wobec tego dziwnego zegara, ale już dalej nic nie pamiętam.

31 III 1943.

Sen. Byłam z Anną u fryzjera, który robił mnóstwu pań wieczną ondulację, przy czym suszył im umyte głowy w taki sposób, że odcinał te głowy od tułowiów i tak odcięte zawijał w ręcznik i huśtał je, aby wyschły. — W tym makabrycznym śnie nie było żadnej grozy. Dziwiłam się tylko, że nie leci krew i że tak zawsze mówiono, że odcięcie głowy jest rzeczą śmiertelną, a tu odcina się głowy jak gdyby nigdy nic dla osuszenia włosów i potem się je przyprawia.

3 VII 1943. Sobota.

Wczoraj śnił mi się jakiś instrument wynaleziony dla wynajdowania choroby w organizmie. Widziałam jak przykładano go do jakichś nóg i rąk, a choroba jak złoty punkcik uciekała. Potem śniłam, że jadę pociągiem do Wenecji. Była noc. Pociąg jechał ulicami Wenecji. Widziałam ciemne mury i polśnienie wody kanałów między nimi. Spojrzałam na swój zegarek i patrzę, że na nim jest 3 godzina. Wtem patrzę, a w przedziale wagonu jest w ścianie taki zegar, jakiego były u nas w tramwajach, i na tym zegarze jest już 5-ta. Strasznie dziwi się, że aż dwie godziny różnicy. Wtem ktoś mówi: — Przecież to jest sowiecki pociąg. I strasznie mnie to przeraziło, że jadę do Wenecji sowieckim pociągiem.

1 VIII 1943.

Dziś w panińskim pokoiku [dodano ołówkiem: u Dipplów] miałam taki sen. Mam niby to jechać na Pragę. Coś z tramwajami, czego nie pamiętam. Czegoś jadę w kółko (reminiscencja kolistej uliczki). Raptem okazuje się, że na ulicy stoi masa żandarmów, którzy legitymują. Przy każdym posterunku dwa draży [słowo nieczytelne] złożone w trójkąt. Żandarmi stoją wewnątrz tego trójkąta, odgradzeni nim od przechodniów. Sposrzegam, że zapomniałam w domu torebki z dowodami osobistymi. Wracam i zmierzam do naszego mieszkania, ale znalazłam się nagle w sieni naszego domu w Russowie. Jakaś niezwykle sympatyczna służąca kiwa na mnie, otwiera drzwiczki do komóreczki, gdzie stały zawsze nocniki, i pokazuje mi śliczne półki ze słojami konfitur i innych zapasów i mówi, że to jest ukryta broń. W tejże chwili znalazłam się znów w Warszawie. Dzwonię do naszego mieszkania. Otwiera mi Marynia Cz. i mówi, że nie ma

dla mnie miejsca, bo tu już nocuje 9 osób. Idę do Anny, ale ona mi też coś tłumaczy, że wszystkie łóżka zajęte. Idę na pierwsze piętro do p. Kiślańskiej — to samo. Czyjś głos mówi: „Wobec masakry w całym mieście wszystko wieje i tutaj nocuje”.

31 VIII 1943. Wtorek.

Śniło mi się dziś, że mi się śni, że pograżam się w jeziorze Gople, czy też leżąc nad nim ramionami je obejmuję i w siebie zagarniam. Nagle ręka moja natyka się na Mysią Wieżę w Kruszwicy. Zaczynam się zastanawiać głośno, czy Mysią Wieża jest tylko legendą czy też istnieje naprawdę. Słuchają mnie jakieś pralasy i dzieje się to w praczasach. Biorę wieżę mysią pod pachę niby serwetkę i nagle zaczynam śpiewać słowo: — „Gopło — Gopło”, i czuję, że tym śpiewem muszę przebić sen — męczę się i śpiewam coraz głośniejsze. Wtem zdaję sobie sprawę, że St. usłyszał ten mój śpiew przez sen i idzie do mnie — I kładzie się przy mnie na tapczanie taki chudy jak Ghandi i budzi mnie, i uspakaja — i pyta: „Co to znaczy, co ty mówiłaś przez sen?” — A co ja mówiłam?” — „Mówiłaś: «Rzeźba lasu, rzeźba lasu. Przysłówek przedziwny»” — „Ależ nie — dziwię się — ja śpiewałam «Gopło, Gopło»” —

10 XI 1943. Środa.

Dziwny niezwykle realistyczny sen o nieprzyjemnej wizycie. Pamiętam każde słowo rozmowy z tego snu, a zwłaszcza słowa gościa: „A jeśli mordę przepierzemy? My dzicy?” I moją odpowiedź: „Właśnie ponieważ wiem, że na świecie zostaną same mordy, a ja przywykłam żyć w towarzystwie twarzy ludzkich, więc pan łaskaw pozostawi mnie natychmiast w tym towarzystwie”. Pamiętam jak przy tych słowach wstałam, pokazałam gościowi drzwi, pamiętam nawet, że miałam na sobie letni szlafrok czarny w kwiateczki.

2 XII 1943. Czwartek.

Dzisiejszej nocy śniło mi się, że na ulicy spotkałam Anielusię (Zagórką) taką radosną, rozentuzjasmowaną, różową — niebioskooką jak za najładniejszych chwil jej życia. Pocałowałam ją w oba policzki, takie puszyste, ciepłe, miłe i biegnę na Górnośląską z radosną nowiną, że to nieporozumienie: Anielusia wcale nie umarła — żyje — tylko co ją spotkałam.

Ale patrzę, a ona leży jednak w swoim pokoju umarła, z woskową twarzą, zaciśniętymi ustami, tak jak ją wczoraj na jawie widziałam. Strasznie ostro czułam w tym śnie kontrast Anielusi żywej, rumianej i martwej, żółtawej, zimnej. Ale wcale nie zachwiała się moja pewność, że widziałam przed chwilą Anielusię żywą. — „Ależ to jest rozdwojenie osobowości — mówię do pani Godlewskiej — co za dziwne rozdwojenie osobowości”.

11 VII 1944. Wtorek.

Dzisiejszej nocy śniło mi się, że ze St. jechaliśmy świetnym przedwojennym pociągiem i mieliśmy niby to przejeżdżać przez Jaworze.

Raptem ktoś mówi, że ten wagon czy przedział jest imienia Jerzego Czopa i że album, leżące na podokiennym stoliku, to album pamiątkowe z Jaworza. Spojrzałam i widzę, że w okładkę oprawiona jest fotografia, przedstawiająca kilka osób siedzących przy stoliku. Widzę, czy też ktoś mi widzi, że na tej fotografii jest Jerzy Cz. Zrazu nie chcę wierzyć. — „Ale — to nie on — mówię — najmniejszego podobieństwa nawet nie ma”. Raptem widzę, że ta fotografia zaczyna się zachowywać jak film i to „mówiony”. Teraz przyznaję, że to istotnie Jerzy Cz. wstaje, chodzi, mówi, słyszę jego głos. Wzruszenie ściska mnie za gardło. Zaczynam przemyślać, jak wyciąć i wykraść tę fotografię z kolejowego albumu. Na tym się budzę.

podał do druku i wstępem opatrzył

Tadeusz Drewnowski